

GONIEC ZAMOYSKI

nr 7 (34) ~Kwiecień~ Gazetka XVIII LO w Warszawie



W NUMERZE:

- 4** Byłem
- 6** Wspomnienia absolwentów
- 13** Wywiad z panią profesor Gieysztor
- 19** Dodatek do wywiadu
- 20** Przegląd prasy. Bardzo starej prasy
- 22** Wyniki konkursu
- 23** Rejs w nieznane
- 26** Rzecz o Marianie
- 28** Żarcie na kółkach
- 30** Olga Boznańska
- 31** W liceum naszym – manifest
- 32** Złote usta



[GONIEC.ZAMOYSKI](https://www.facebook.com/goniec.zamoyski)



GONIEC.REDAKCJA@GMAIL.COM



[GONIEC.ZAMOYSKI.BLOGSPOT.COM](https://goniec.zamoyski.blogspot.com)



[GONIECZAMOYSKI](https://twitter.com/GONIECZAMOYSKI)

REDAKTOR NACZELNY: Filip Φ . Świerczyński

AUTORZY: Robert Bengsz, p. prof. Marzena Chylińska, Jakub Drożdż, p. prof. Barbara Gieysztor, Julka Kaczorowska, Mateusz Kuchta, Kazimierz Michalik, Andrea Nowicka, Tomasz Ratajczyk,

Filip Φ . Świerczyński, oraz absolwenci Zamoyskiego

SKŁAD I OPRAWA GRAFICZNA: Maria Wawreniuk

OPIEKUNOWIE REDAKCJI: p. prof. Marzena Chylińska, p. prof. Emilia Kędziorek, p. prof. Agnieszka Mitura

DRODZY ZAMOYSZCZACY I ZAMOYSZCZACY IN SPE,

Oddajemy w Wasze ręce numer kwietniowy – nieco inny niż zwykle. Chyba jeszcze nigdy w kilkuletniej już historii „Gońca Zamoyskiego” nie było wydania tak bardzo nawiązującego do przeszłości. Powodów tak nietypowego charakteru numeru jest kilka. Przede wszystkim – 110 rocznica powstania naszej szkoły, którą w tym roku świętujemy. Chcemy, jako Redakcja, choć w skromny sposób upamiętnić to doniosłe wydarzenie.

Po drugie – chcieliśmy, by numer adresowany do kandydatów ukazywał nie tylko codzienność dzisiejszych Zamoyszczaków, ale i obrazował długoletnią tradycję Zamoyskiego. Stąd też relacje dawnych absolwentów.

I wreszcie – po trzecie – bodźcem nie bez znaczenia było udostępnienie nam przez p. prof. Gieysztor archiwalnych numerów gazetek szkolnych (nawet tych funkcjonujących w naszym XVIII LO ponad osiemdziesiąt lat temu!). Z ciekawością przeglądaliśmy przedwojenne i powojenne dzieła redaktorów–naszych poprzedników. Także i wy – jeżeli jesteście zainteresowani przeszłością szkoły – możecie je obejrzeć w szkolnej bibliotece.

Dzień dzisiejszy nie jest uroczysty przez to wyłącznie, że jest dniem kolportowania nowego numeru „Gońca” – to dzisiaj witamy w szeregach Redakcji czterech nowych, gotowych do pracy Redaktorów (artykuły niektórych możecie przeczytać już w tym numerze!). Nie znaczy to, że rekrutacja zostaje zamknięta – każdy chętny nadal może zgłosić się do współtworzenia naszego szkolnego periodyku.

Jeżeli w numerze tym trzymamy się nietuzinkowości, to i przy tejże pozostaniemy aż do końca – bo kto to widział, żeby wstępniak kończyły życzenia...?

DROGIE KOLEZANKI I DRODZY KOLEDZY Z KLAS TRZECICH,

Kolejny numer „Gońca” ukaże się najpewniej, gdy po szczęśliwym ukończeniu naszego LO będziecie się zmagać z egzaminami (w chwili, kiedy czytacie ten numer, do matury pozostało mniej, niż dwadzieścia dni [tu redaktor naczelny uśmiecha się szeroko]) - zatem już teraz chcemy podziękować Wam za czas spędzony wspólnie w murach Zamoyskiego.

Jednocześnie życzymy Wam wszystkim połamania piór na maturze oraz tego, by każdy z Was, wytyczając swą życiową ścieżkę, podążał tą wymarzoną, „podążał za swym marzeniem, podążał wiecznie – zawsze, usque ad finem”...



Czy warto w ogóle podejmować się wyborem liceum? Kiedyś każdy „ogólniak” miał swój poziom i prestiż, swoje atuty i wymagania. Każdy wiedział, co go czeka w konkretnym liceum, gdzie jest jego poziom, a gdzie jest zbyt trudno. Gdzie jest straszny dyrektor i gdzie okropny nauczyciel matematyki. Dziś każdy może spróbować dostać się wszędzie. I czasem się to udaje.

Mówi się, że liceum jest takim miejscem, w którym trzeba już wiedzieć, co chce się w życiu robić. Są bardzo skonkretyzowane profile klas i wyraźne podziały między matematykami i humanistami. Zamoyski nie szufladkuje, sam jestem tego świetnym przykładem. Mój kierunek studiów wybrałem dopiero w czerwcu po maturze. Po trzech latach spędzonych w klasie humanistycznej podszedłem do matury rozszerzonej z geografii (na zajęciach – poziom podstawowy) i uzyskałem przyzwoity wynik. Na tyle przyzwoity, że dostałem się na studia geograficzne już w pierwszej rekrutacji na wysokim miejscu.

I jestem tam nadal. Oczywiście wymagało to sporego nakładu pracy (każda próba osiągnięcia czegoś w życiu wymaga pracy), ale mogłem liczyć na wsparcie mojej nauczycielki. W mojej klasie były też osoby, które poszły na inne absolutnie niehumanistyczne kierunki jak zarządzanie.

No właśnie, nauczyciele. Nie zamierzam tworzyć iluzji, że cała kadra Zamoyskiego to złoci ludzie z idealnym wprost podejściem do młodzieży. Bo oczywiście tak nie jest,

ideały nie istnieją. Nie istnieją nigdzie – jeśli gdzieś na dniu otwartym ktoś powie Wam o młodej, dynamicznej kadrze ze świetnym podejściem, nie wiercie mu. Zawsze są ci źli, w każdej szkole. Nie można opierać swojego wyboru szkoły o to, że „jakaś pani od matmy jest potworna, gnębi uczniów i mnóstwo osób u niej nie zdaje”. Ta pani ma z pewnością swojego sobowtóra w liceum trzy ulice dalej, tylko nie zawsze Wam o tym powiedzą. Warto przyjrzeć się jednak tym, którzy wnoszą do szkoły pewną jakość stwarzając atmosferę – nauczycielowi opowiadającemu dowcipy i mającemu bardzo pozytywne podejście do przedmiotu, nauczycielkę, która optymistycznie i wyrozumiale podchodzi do uczniowskich błędów i wielu innych nauczycieli, dla których nauczanie nie jest nieprzyjemnym obowiązkiem, a ciekawym (i czasem zabawnym) doświadczeniem. Oczywiście, zawsze można mieć pecha i trafić na kogoś bardzo wrednego, kto wygląda, jakby siedział za biurkiem za karę. Wszędzie, bez względu na prestiż i pozycję rankingową szkoły. Ale wydaje się, że mimo wszystko w Zamoyskim bardziej prawdopodobne jest trafienie na kogoś „fajnego”, co czasem dostrzega się dopiero po opuszczeniu murów tej szkoły.

Na Zamoyskiego się narzeka. Że dużo nauki, dużo pracy domowej, trudne sprawdziany i tak dalej. Ale to chyba taka ogólna prawidłowość dotycząca szkoły. W gimnazjum chcemy wrócić do podstawówki. A z liceum chcemy wrócić z powrotem do

gimnazjum. Bo tam było łatwiej i lepiej, a tutaj tak trudno, tak dużo pracy. Ja, chociaż już studiuję, też czasem chciałbym wrócić do liceum. Bo na studiach, choć zasadniczo niczego nie muszę, to jeśli coś odpuszczę, to bardzo prawdopodobne, że nie zdam. W Zamoyskim można, wbrew pozorom, dokonywać selekcji tego, do czego chce się przyłożyć, co chce się zrobić dobrze i porządnie, a co można zignorować (żeby nie używać nieparlamentarnego słowa na o). Prawdopodobnie niektórzy nauczyciele będą od tego czasu spoglądać na mnie ze złością, gdy odwiedzę te stare mury, ale taka jest prawda – sprawdzona i wypróbowana przez trzy lata edukacji. Można zarobić jakieś jedynki, dwójki – przecież to już liceum – ale jeśli dokonamy dobrej selekcji, to możemy w dużej mierze ograniczyć pracę bez wielkich konsekwencji, co raczej trudno zrobić na studiach. Należy tylko pamiętać, że możemy odrzucić trochę pracy, ale nie połowę i nie większość. Bo takie osoby już nie zdają. Wystarczy zachować racjonalność i efekty mogą być naprawdę dobre przy zmiejszonym nakładzie pracy. Dlatego czasem (ale tylko czasem) chciałbym wrócić. Choć prawdę mówiąc nadal trochę tu jestem. Wciąż piszę do „Gońca Zamoyskiego”, którego egzemplarz trzymasz, Czytelniku, w ręce. Gazetka, którą prowadziłem przez prawie półtora roku dalej działa, rozwija się i można publikować w niej regularnie prawie każdy tekst. W wielu innych szkołach owszem są gazetki, ale trudno tam zarówno o regularność wydawania kolejnych numerów, jak i wolność autorów, która bardzo często jest ograniczana.

Gdy przychodziłem do tej szkoły cztery lata temu, nie wiedziałem czego się spodziewać. To była moja pierwsza szkoła poza dzielnicą, w której mieszkam, coś zupełnie nowego, nieco przerażającego. Zamoyski swoim szarym, ogromnym gmachem sprawiał wrażenie niesamowicie poważnej instytucji. Pierwsze wrażenie było podobne. Wielki budynek, wielkie schody i niekiedy kategorierni nauczyciele z zasadami. Jednak później okazało się, że za tą skutecznie i z trudem utrzymywaną fasadą „elity” kryje się normalne liceum, co prawda o wysokim poziomie i dużych wymaganiach, którym nie wszyscy są w stanie sprostać, ale jednocześnie gwarantuje naprawdę dobre przygotowanie. Każdy Zamoyszczak z pewnością usłyszy nieraz, że chodzi do „elitarniej” szkoły i powinien się elitarnie zachowywać i uczyć. Tylko ja nadal nie wiem, co ta elitarność oznacza i z czym się wiąże. Zamoyski to po prostu solidna szkoła wykonująca swoją robotę. Coś takiego jak elita już nie istnieje we współczesnym równym społeczeństwie.

Zamoyski nie jest szkołą łatwą. Jeśli ktoś liczy na spacer w drodze do matury, to znaczy, że nie jest dobry z matmy i nie umie liczyć. A już na pewno nie w Zamoyskim. Wymagania są duże i trzeba być na to przygotowanym. Ale z pewnością, przy odrobinie starań i trzeźwego myślenia, można z tej szkoły wynieść nie tylko krede, ale też sporo przydatnej (i trochę nieprzydatnej) wiedzy, która pozwoli dobrze zdać maturę i trochę łatwiej wystartować w studia. Piszę to, bo wiem. A wiem, bo też tu byłem.

Krzysztof

Moje wspomnienia związane ze Szkołą Zamoyskiego są specyficzne ze względu na czas i ówczesny charakter byłego Gimnazjum i Liceum.

W mury tej uczelni trafiłem (w wieku niewiele ponad sześć lat, a mimo to wyrosłem na ludzi) w 1940 roku. Zgłosiłem się jako jeden z pierwszych i powitała mnie postać godna najcieplejszego wspomnienia. Była nią Pani Makowiecka, woźna szkoły. Pierwsze wrażenie, wynikające z Jej okazałej postury, mogło być wręcz niepokojące! Okazała się jednak duchem opiekuńczym naszej dość przejętej gromadki. Zwłaszcza jesienią pytała się, czy "student sobie poradzi, czy też pomóc "studentowi" coś zdjąć (trudności sprawiały noszone na słotę tzw. boty). Nosiliśmy dumnie "maciejówki" ozdobione przedwojennym znaczkiem szkolnym tj. kagankiem oświaty w kole. Uczyła nas p. Korbutowa - również sympatyczna, co rzeczowa. Z tzw. grona pamiętam jeszcze księdza prefekta Paciorkiewicza, zwanego z kształtu i barwy fizjonomii "Pomidorem". W murach na Smolnej nie byliśmy długo, bo budynek szkoły zajęty został na niemiecki szpital wojskowy, zwany wówczas "lazaretem". Trafiliśmy "przygarnięci" do szkoły Górskiego na godziny po ich lekcjach. Do naszego codziennego rytuału należało umieszczanie na tablicy (wbrew wdzięczności za gościnę) tradycyjnego w walce szkół wersetu: "Czapkę wojska francuskiego nosi małpa od Górskiego i tą małpą się zachwyca druga małpa od Staszica!" Nazajutrz zastawaliśmy za to na tablicy mniej tradycyjną "obelgę": "Zamojszczaki świnię psiaki!". Także i ta możliwość kontynuacji nauki u Zamoyskiego skończyła się całkowitą likwidacją tej zbyt "polskiej" i tradycyjnej szkoły. Ja zostałem przeniesiony przymusowo do publicznej szkoły powszechnej na ul. Sewerynow. Uzupełnieniem jej (dozwolonego – dość wiejskiego poziomu) były tzw. komplety, czyli lekcje odbywane w prywatnych mieszkaniach m.in. w gronie byłych "zamojszczaków". Odbywały się m.in. w mieszkaniu moich Rodziców na ul. Zgoda 8.

Tyle zdołałem wygrzebać z pamięci o tych dość odległych wydarzeniach.

Jerzy

Do Zamoyskiego chodziłem od października 1939 r. Była to szkoła męska. Początkowo lekcje odbywały się w budynku szkoły na Smolnej, ale wkrótce Niemcy go zabrali. Budynek był piękny, świetnie wyposażony. Była znakomita sala gimnastyczna. Wtedy, pod patronatem matematyka prof. Władysława Hermaszewskiego, uprawialiśmy piłkę ręczną, którą lubiłem i byłem w niej dobry. W czasie Powstania pod kwaterą prof. W. Hermaszewskiego – był porucznikiem AK – wybuchł na Starym Mieście słynny czołg-pułapka. Profesor doznał wielu obrażeń, ale ocalał. Do I Komunii św. przygotowywał nas ks. Hofman, jeszcze w budynku szkoły.

Po zamknięciu szkoły przez Niemców ruszyło wielkie, świetnie zorganizowane nauczanie na kompletach. Kilkuosobowe grupy uczniów spotykały się z nauczycielami od Zamoyskiego na lekcjach w prywatnych mieszkaniach. Poziom nauki był stale bardzo wysoki, a było to już gimnazjum. Chłopcy byli bardzo kulturalni, choć nie była to szkoła elitarna. Kolegowałem się z chłopcami z domów zamożnych i skromnych i nie było żadnych różnic.

W szkole Zamoyskiego uczyłem się przez całą wojnę – od października 1939 r. do czerwca 1944 r. Pozostały dobre i serdeczne wspomnienia.

Joanna - matura 1974

Gdy po latach myślę „Zamoyski”, to wciąż czuję się bardzo dumna... Skończyłam Zamoyskiego w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Naukę zaczynałam wkrótce po wydarzeniach marcowych, gdy w Warszawie pojawiły się na ulicach białe czapki studentów Uniwersytetu i Medycyny oraz brązowe Politechniki. Wówczas chodziłam w niebieskiej czapeczce Zamoyskiego, która budziła zainteresowanie, mało kto wiedział bowiem, która uczelnia ma taki właśnie symbol. Choć wielu uczniów czapki zakładało dopiero przed szkołą (noszenie ich było obowiązkowe), ja lubiłam paradować właśnie w takim nakryciu głowy, gdyż uważałam, że dodaje mi to powagi, a poza tym nie było wtedy chyba drugiego liceum w Warszawie, w którym wymagano używania na co dzień historycznych czapek.

Gdy myślę „Zamoyski”, to wspominam bardzo ciężką pracę i spory stres. Tak już wtedy było, zwłaszcza w tzw. dobrych szkołach, a Zamoyski niewątpliwie był tą najlepszą, że nauka niepodzielnie wiązała się ze stresem. Właściwie każdy profesor roztaczał wokół siebie aurę niebotycznych wymagań i starał się utrzymać ucznia w poczuciu jego niedoskonałości (by nie powiedzieć stałego upokorzenia). Trzeba więc było udowadniać każdego dnia rację swego istnienia i być gotowym na odpowiadanie z każdego przedmiotu i przeważnie z całego materiału. Skutki tych, jakże wówczas nieprzyjemnych zabiegów, widoczne są po latach, gdyż materiał tak solidnie



utrwalony zakorzenił się głęboko w głowie. Nie było wówczas tzw. „praw ucznia”, regulaminów dotyczących liczby prac klasowych czy domowych, po prostu trzeba było umieć zawsze i wszystko. Pierwsze efekty takiej polityki widać jednak było już wkrótce po maturze, gdyż absolwenci Zamoyskiego właściwie wszyscy zdawali pozytywnie egzaminy wstępne na studia.

Gdy myślę „Zamoyski”, wspominam dyrektora Gada, gdyż w jego epoce dane mi było chodzić do szkoły. Była to postać budząca powszechny strach. Gdy pojawiał się na horyzoncie, lepiej było skierować kroki ku przeciwległej klatce schodowej, by nie dostąpić spotkania twarzą w twarz. Nigdy bowiem nie wiadomo było, co mogło mu się nie spodobać u ucznia.

Myślę też o wielu profesorach, oryginalnych, niepospolitych, jedyńskich. Wśród nich był profesor Franciszek Fradyński, pseudonim Ryba, łacinnik. Znał także grekę i hebrajski oraz dziewięć języków nowożytnych. Gdy wchodził do klasy, zawsze witał się tak: *Salve pulchrae puellae, salve pueri boni*, bowiem wszystkie dziewczęta są piękne, a wszyscy chłopcy są dobrzy. My zaś, w postawie stojącej na baczność, odpowiadaliśmy głośno chórem: *salve Magister noster*. Potem zagłębialiśmy się w tajniki języka klasycznego, a profesor wciąż powtarzał, że łacina jest kluczem do wszystkich języków, co udawdniał pisząc na tablicy obok słówka łacińskiego jego odpowiedniki w innych językach.

Oryginałem był też geograf, profesor Kędzierski, pseudonim Łup, zwany tak od zamięłowania do geologii i kolekcji skał, którą zgromadził w pracowni geograficznej. Naszym udręczeniem było rozpoznawanie tych łupków, co stanowiło zwykle obowiązkową część odpowiedzi.

Straszna była chemica, profesor Lamparska, zwana Lamparą. Wydawało się, że stawianie ocen niedostatecznych, których nie skąpiła, sprawia jej dziwną satysfakcję i radość, zaś postawienie oceny dobrej (taka była najwyższa w jej skali), co miało miejsce bardzo rzadko, wręcz jest dla niej bolesne. Gdy już zdarzyło się jej postawić czwórkę, zwykle na następnej lekcji musiała zweryfikować, czy na pewno delikwent nie otrzymał oceny niesłusznie.

Historyczka, profesor Kulińska, miała nie lada problem, gdy najbardziej aktywni uczniowie uparcie wracali do tematów zakazanych, takich jak Katyń, Armia Krajowa, powstanie warszawskie. Nękaliśmy ją pytaniami, na które nie wolno jej było odpowiadać, my zaś lubiliśmy patrzeć na jej zakłopotanie.

Najsympatyczniejszym spośród nauczycieli był fizyk, profesor Piotr Gładun, pseudonim Antałek, zwany tak od wyglądu zbliżonego do pana Zagłoby. Jako jeden z nielicznych był łagodny, uśmiechnięty, ciepły, przemiły, siwy staruszek o błękitnych oczach i szaroniebieskim garniturze. Miał tylko jedną wadę, nie udawało mu się utrzymać dyscypliny, co skutkowało tym, że na każdej lekcji robiliśmy to samo zadanie, które zaczynało się od słów: „Naczyńko z wodą....” Niestety, spośród jego uczniów niewielu zostało

inżynierami i lekarzami, zaś na pewno wykształcił wielu humanistów.

Nie sposób nie wspomnieć o młodzieńczych pomysłach, które jakkolwiek krępowane i trzymane w ryzach przez surowe grono wydarzeń, uznanych za karygodny wybryk szkolny, było wytapetowanie klasy kolorowymi plakatami, wszystkich ścian od sufitu do podłogi. Plakaty zostały przyklepione do ścian taśmą klejącą, a gdy w trybie natychmiastowym po wykryciu porannej działalności artystycznej grupy uczniów, (której przewodził Tomasz Dominik, syn artysty malarza Tadeusza, dzisiaj także znany artysta), zostały zdjęte, winni całego zajścia zostali surowo ukarani, zaś wszyscy musieli złożyć się na remont sali.

Gdy po latach myślę „Zamoyski”, to jestem dumna, że miałam wspaniałych nauczycieli, kolegów, że chodziłam do szkoły, która choć wymagała dużej odporności psychicznej, miała też niepowtarzalny, choć bardzo surowy klimat i długie tradycje sięgające początków XX wieku. Mama zaś opowiadała mi, że przed wojną, w okresie dwudziestolecia, spacer Nowym Światem z chłopcem z Zamoyskiego, który nosił niebieską czapkę, był nie tylko przyjemnością, ale zaszczytem.

Magda - *matura 1990, tłumacz*

Kiedy zapytano mnie o wspomnienia z Zamoya po latach, trochę się zawiesiłam, bo zdałam sobie sprawę, że ostatni raz przekroczyłam progi liceum prawie ćwierć wieku temu... O rany... to już tyle czasu? A wydaje się tak niedawno! Pamiętam swoje pierwsze zetknięcie z budynkiem: szerokie, puste korytarze - ZBYT szerokie dla kogoś, kto

uczył się w ciasnej podstawówce. Pamiętam, że miejsce wcale mi się nie spodobało - za mało przytulne, za bardzo bezosobowe.

Ale przecież szkoła to nie mury. Nie składałam papierów do szkoły z powodów architektonicznych - przecież chodzi o naukę. Tak wyszło, że w roku, kiedy zdawałam egzaminy do liceum, to właśnie Zamoyski jako jedyny w Warszawie miał interesujący mnie profil i języki. Wybrałam więc Zamoyskiego z powodów, nazwijmy to z przymrużeniem oka, naukowych.

Ale to właśnie w Zamoyskim spotkałam ludzi, którzy uświadomili mnie, że szkoła to nie budynek, nie program nauczania nawet - szkoła to przede wszystkim ludzie, i to, co oni wnoszą ze sobą w te mury. A ludzie to nie tylko dyrekcja, nie tylko nauczyciele, choć oni w szczególności mają na nas wpływ, ale także nasi koledzy i my sami. Więc to, co zyskamy dzięki szkole, zależy od ludzi, których tam spotkamy, i od nas samych. I teraz, kiedy po 25 latach myślę o Zamoyskim, widzę przede wszystkim ludzi.

Ludzi, którzy otworzyli przede mną zupełnie nowe światy.

Świat historii, który przestał składać się z suchych dat i przestał być zbiorem niepowiązanych ze sobą obrazków z różnych epok - a stał się fascynującą opowieścią o tym, co i dlaczego się wydarzyło, i jaki miało wpływ na kolejne wydarzenia. A jednocześnie zaludniony nie posągowymi bohaterami, ale żywymi osobami, z których każda miała swoje

dążenia, swoje przekonania, i każda stawała się dla nas kimś bliskim. Świat literatury i sztuki, w którym znane z podstawówki urywki dzieł literackich nabrały nagle sensu, tworząc obraz rozwijającej się i zmieniającej kultury, powstającej nie w oderwaniu, ale w łączności z historią. Rozczulenie nad najwcześniejszymi tłumaczeniami psalmów na język polski - dziś dla nas śmieszny lub nieporadny, zaskoczenie pierwszym uważnie przeczytanym romantycznym utworem - że można TAK pisać, i jakie to niesamowite. Odkrycie, że starożytni nie różnili się od nas wcale tak bardzo, że to samo ich cieszyło i irytowało. Rozmowy nie tylko na lekcjach, ale także na przerwach, a nawet w drodze ze szkoły do domu - o tym, co kto właśnie przeczytał, jaki spektakl obejrzał, czym się zachwyił, a c o g o z n i e s m a c z y ł o .

Uczciwość nakazuje przyznać, że nie wszystkie wspomnienia z Zamoya są dobre. Zachwył i inspiracja to jedno, towarzysząca im ciężka praca to drugie - ale były też chwile buntu i rozczarowań. Zdarzali się nauczyciele, którzy zarażali nas swoją pasją. Byli też inni, którzy mimo głębokiej wiedzy nie potrafili nam przekazać swoich fascynacji, za to potrafili mocno uprzykrzyć życie. Byli też lubiani, ale nieszkodliwi, którzy niczego nie wymagali i niczego nie nauczyli. Byli wreszcie ci, z którymi rozmawiało się po nocach o życiu na szkolnych wycieczkach, więc nawet jeśli nie byliśmy orłami z ich przedmiotów, coś nam przecież ważnego przekazali.

Szkoła to mała społeczność, w pewnym sensie miniatura świata, w którym żyjemy. Składa się z ludzi - a ludzie są przecież różni. Jeśli

wchodzimy w świat oczekując samych ideałów, szybko się rozczarujemy. Do tego rozczarowania szkoła też przygotowuje - każda szkoła, niezależnie od tego, jak wspaniałe recenzje na jej temat przeczytacie.

Po latach liczy się to, co zyskaliśmy - niezwykle, skomplikowany świat, który postrzegamy w zupełnie nowy sposób - i ludzie, którzy go przed nami otworzyli, każdy na swój sposób.

I choć większości z tych osób już nie ma w Zamoyskim, to przecież na ich miejsce pojawiają się nowi, którzy wraz z kolejnymi pokoleniami uczniów będą od nowa przyglądać się światu. W innych realiach, z innymi doświadczeniami, może dochodząc do innych wniosków - ale nadal będą wspólnie odkrywać ten świat, uczyć go akceptować albo uczyć go zmieniać. I każdy wyciągnie z tej nauki tyle, ile sam będzie chciał. Bo tak to działa po prostu.

Paula - *matura 1990, trenerka komunikacji, dziennikarka Radia ZET*

Kiedy myślę „Zamoyski”, pojawia się radość i duma. Błyszczące, szorowane raz do roku dziwnymi metalowymi wiórami podłogi, szerokie korytarze, i szmata do ścierania tablicy rzucona na lampę pod sufitem na korytarzu (w drodze do łazienki). Czas mojego potężnego rozwoju, chłonięcia wiedzy jak gąbka, ale i pierwszych, nie zawsze grzecznych, doświadczeń młodzieńczych... No, nie na terenie szkoły, ale w tym CZASIE ☺ I dziwny zwyczaj ściągania wypracowań z polskiego zawsze od Emilki, Magdy lub Moniki. Cud, że maturę z polskiego napisałam na „5” (szóstek wtedy nie było ☺)

I jeszcze NAUCZYCIELE. Legendarna Pani Radziwiłł (my nie nazywaliśmy jej „księżną”), najlepszy nauczyciel historii, jakiego miałam w życiu. Do dziś przechowuję zeszyty z jej lekcji, do dziś pamiętam, w którym miejscu mam notatkę „Dagome Iudex” – najstarszy polski dokument. Obok Pani Profesor Radziwiłł w mojej pamięci jest Babcia Krysia, czyli nauczycielka polskiego Krystyna Żebrowska. Obie – z doktoratami. No i oczywiście Anka – wychowawczyni. W pierwszej klasie współczułam jej starczego wieku – miała wtedy już 29 lat...

„Zamoyski” – to także, wśród tysięcy obrazów i wspomnień, obchodzone oficjalnie Dni Sportu, z których raz uciekliśmy przez siatkę od strony ulicy Foksal. Dorocie, kiedy dość niezdarnie przechodziła, dopingowana przez nas, zadarła się długa spódnica. Dziewczyna zeskoczyła, ale spódnica została tam na górze, na płocie...

Izabela - *matura 1999, prawnik*
Gdy po latach myślę „Zamoyski”, od razu przypominają mi się stare mury - nie w sensie, że to było tak dawno, ale dlatego, że Zamoyski i jako szkoła i jako budynek niezaprzeczalnie zawsze miał dla mnie „duszę”. Wspominam dobrych ludzi, których tam spotkałam i niesamowitą bibliotekę, w której zbiorach niektóre książki są absolutnie wyjątkowe: stare i unikatowe.

Marta - *matura 2009, aplikant
adwokacki*

Liceum im. Jana Zamoyskiego zawsze wspominam z sentymentem. Nauka w nim pozwoliła mi bardzo dobrze przygotować się do matury i dostać się na wymarzone studia. Nieoceniona

pomoc i wsparcie ze strony Nauczycieli sprawiały, że każdy cel był w tamtym czasie na wyciągnięcie ręki.

Bardzo się cieszę, że ten wyjątkowy czas wkraczania w dorosłość mogłam spędzić wśród tak wspaniałych ludzi, w miejscu, które umożliwiała **rozwijanie zainteresowań** i nawiązywanie pięknych przyjaźni. Odczuwalna atmosfera ponad stuletniej tradycji Szkoły pozwalała poczuć się częścią jej historii i rodziła pragnienie pozostawienia czegoś po sobie kolejnym pokoleniom. Jednocześnie niezwykle komfortowe położenie Szkoły w samym sercu nowoczesnej Warszawy powodowało, że ani na moment nie było tam nudno, a życie szkolne nie kończyło się wraz z ostatnim dzwonkiem.

Patryk - *matura 2010, inżynier
elektroniki i informatyki*

Gdy po latach myślę o Zamoyskim, to czuję słodki smak beztroski. Pamiętam, jak przekraczałem coraz to nowe granice, dużo rzeczy się działo. Nauki było sporo, ale akurat tego po latach już nie pamiętam. Byliśmy zgraną klasą i niektórzy ludzie okazali się twardsi od wspomnień. To właśnie te kilka osób **plus wiedza wyniesiona** z nieprzeciętnych zajęć, są główną wygraną decyzji sprzed lat.

P. - *matura 2010*
Uczęszczałem do tej szkoły w latach 2007-2010 (klasa mat-fiz-inf) z czego do dziś jestem dumny. Nie da się zaprzeczyć, że było ciężko, ale skutkiem włożonej pracy były znakomite wyniki z matury całej klasy. Warto zauważyć, że obecne miejsce szkoły w drugiej dziesiątce rankingu warszawskiego (nie bardzo można nazwać to miejscem elitarnym) wynika z tego, że nie zwraca

się w niej szczególnej uwagi na olimpiady. Tu serwowany jest solidny kurs przygotowujący do matury połączony z nauką logicznego myślenia. Dzięki temu nie musiałem wydawać ani grosza na jakiegokolwiek korepetycje czy kursy maturalne. Inne zalety szkoły to oczywiście znakomita lokalizacja i szerokie korytarze. Nie wiem, jak sytuacja wygląda teraz (jeśli chodzi o nauczanie - korytarze i lokalizacja się raczej nie zmieniły). Opinie o znakomitym przygotowaniu do matur, na których mi zależało (matematyka, fizyka, angielski) dotyczą „zestawu” nauczycieli: p. Danuta Korczyńska, p. Jadwiga Holas, p. Anna Grocholska. Nauczyciele niematuralni nie utrudniali zaliczania swoich przedmiotów, dzięki czemu starczyło czasu i chęci, aby skupić się na jedynym celu licealisty, czyli maturze.

Natalia - *matura 2013*
studentka polonistyki

Wybór liceum nie był dla mnie łatwy. Mając łatwość zarówno w przedmiotach humanistycznych, jak i matematyczno-przyrodniczych, nie wiedziałam jaki profil będzie dla mnie odpowiedni, ani tym bardziej na jaką szkołę postawić. Trafiłam do Liceum im. Jana Zamoyskiego zupełnie przypadkiem, a wybór klasy o profilu mat-geo-inf podyktowany był tak zwanym życiowym rozsądkiem.

Szybko przekonałam się, że nauka w Zamoyskim wymaga wiele zaangażowania i dyscypliny. Nie była to jednak bezsensowna praca. Dzięki świetnym nauczycielom, którzy zauważyli moje zainteresowania, mogłam wszechstronnie się rozwijać. Pozwoliło mi to z łatwością zdać wszystkie egzaminy maturalne – w tym

rozszerzoną matematykę i rozszerzony język polski.

Trzy lata spędzone w tej szkole o pięknych i żywych tradycjach bardzo dobrze przygotowały mnie do samodzielnej nauki, jaką są studia wyższe. Wybrałam kierunek humanistyczny i jestem przekonana, że moje obecne sukcesy są w dużej mierze owocami czasu spędzonego w Zamoyskim.

Aneta - *matura 2014,*
studentka historii

Gdy z perspektywy roku myślę "Zamoyski", to widzę ciekawych, dobrych i otwartych ludzi. Zamoyski - dobry, przyspieszony kurs życia w obecnym świecie pełnym zawłościami, niejasności, trudności. Zamoyski to kuźnia talentów, życiowych wyborów. To miejsce, gdzie zawiązują się prawdziwe przyjaźnie.

Karol - *klasa I*

Większość nauczycieli w gimnazjum, część rodziców i starszych kolegów straszyla nas, że w liceum będzie „bardzo, bardzo ciężko, że wielu z nas odpadnie po kilku tygodniach”. Rzeczywiście pracy jest bardzo dużo, ale atmosfera w naszej szkole jest dosyć przyjazna, nauczyciele w większości życzliwi, a niektórzy niezwykle oryginalni, co dodaje lekcjom swoistej pikanterii. Trzeba się dużo i systematycznie uczyć, czasem za dużo, ale daje się to wszystko jakoś opanować. Musimy wierzyć, że nasza praca zaowocuje dobrze zdaną maturą i wymarzonymi kierunkami studiów oraz że w drugiej i trzeciej klasie nie będzie jeszcze trudniej, jak straszą nas n a s i p r o f e s o r o w i e .



WYWIAD

Z PANIĄ PROFESOR

BARBARA GIEYSZTOR

Filip Świerczyński: Jak długo jest Pani związana ze Szkołą?

Pani Profesor: Całe moje życie – zarówno uczniowskie, jak i zawodowe – związane jest

z Zamoyskim. Może niezupełnie z Zamoyskim, bo kiedy w '54 roku zaczęłam chodzić do szkoły przy ulicy Smolnej 30, to ta szkoła nazywała się „Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące nr 18”. Kiedy

byłam w klasie siódmej, szkoła została podzielona. Postawiono mur. Powstała Szkoła Podstawowa numer 219 (o ile d o b r z e p a m i ę t a m) i Liceum Ogólnokształcące nr 18. Po zdaniu egzaminu wstępnego zostałam uczennicą Zamoyskiego pod dyrekcją Jana Gada, który był również moim nauczycielem języka polskiego. Po maturze rozpoczęłam studia na germanistyce. Gdy byłam na piątym roku dyrektor skontaktował się ze mną, gdyż bardzo chętnie zatrudniał absolwentów, ponieważ uważał, że wychowanek, znając wymagania swoich byłych nauczycieli, będzie przekładał doświadczenia na pracę i że będzie wiedział, co jest w szkole – dla utrzymania jej poziomu – ważne. I tak zaczęła się moja kariera nauczycielska w naszej szkole. Podsumowując: spędziłam 11 lat w Zamoyskim jako uczennica, w 1965 roku zrobiłam maturę (w tym roku obchodzę pięćdziesięciolecie), a pierwszego września 2015 roku upłyne 45 lat mojej pracy w tej szkole.

FŚ: Znaczące różnice między Szkołą kiedyś a dziś?

PP: Po pierwsze – budynek. Kiedy ja zaczynałam chodzić do tej szkoły, budynku przy ulicy Smolnej nie było. Wejście do szkoły było od ulicy Foksal. Bardzo mi żał dawnej, ogromnej sali gimnastycznej na parterze – dzisiaj to jest chyba stołówka gimnazjum. Schodziło się do niej trzy stopnie poniżej parteru. Była to pełnowymiarowa sala gimnastyczna – ogromna. Miała boiska do siatkówki i koszykówki plus pełne wyposażenie gimnastyczne, jak na przykład kółka

i liny. Mieliśmy w niej genialne lekcje wuefu.

Po drugie – wygląd ucznia. Wy nie możecie narzekać, chociaż narzekacie. Zmiana obuwia była absolutnie obowiązkowa. Panie chodziły w granatowych fartuchach z białym kołnierzykiem. Panowie chodzili w marynarkach i koszuli pod krawatem. Obowiązkowa była tarcza – zarówno na ubraniu („mundurku”, nazwijmy to) wewnętrznym, jak i – oczywiście – zewnętrznym; do tego maciejówki. Każdy uczeń miał swoją maciejówkę i musiał ją nosić. Oczywiście nie nosiliśmy ich chętnie – choćby przez to, że uczniowie innych szkół nazywali nas na przykład kolejarzami – więc najczęściej te maciejówki zakładało się na ulicy Smolnej. Mowy nie było, żeby dziewczyny chodziły w spodniach, a ponad wszystko wykluczone były makijaże czy wyszukane fryzury – tylko gładziutko, elegancko, przy długich włosach, najlepiej splecionych. Pan Dyrektor Gad najczęściej był pierwszy w szkole, a wychodził ostatni. Bardzo często spacerował sobie na parterze przy szatni i kontrolował czy tarcze są przyszyte. Robił to również często na lekcji, prowadząc wykład i spacerując po klasie. Jeżeli tarcza była na szpileczkach, to niestety lądowała za oknem i było: „Panna/Kawaler! Z mamą o wpół do ósmej, z przyszytą tarczą”. Szkoła nie posiadała oczywiście takiego wyposażenia, jak obecnie – postęp techniczny jest ogromny.

Natalia Kossakowska:

Czy mogłaby Pani opowiedzieć coś więcej o Panu Dyrektorz Gadzie – bo on jest w sumie legendą tej szkoły.

PP: Rzeczywiście legendą. Pana Dyrektora Gada wspominam bardzo dobrze. Chociaż jak byliśmy w szkole, to oczywiście narzekaliśmy: na fartuszki, na tarcze, na fryzury, na makijaże i tak dalej, i tak dalej. Natomiast Pan Dyrektor Gad – jako dyrektor – był zupełnie inną osobą, niż jako nauczyciel. Kiedy pojawiał się na korytarzu (a pojawiał się na prawie wszystkich przerwach), robiła się cisza, a uczniowie się przed nim rozstępowali. Na pewno był autorytetem. Muszę również powiedzieć, że kiedy wchodził do klasy na lekcje, maska groźnego dyrektora, którą miał na twarzy, spadała i stawał się po prostu nauczycielem. Wymagania miał duże. Wobec podwładnych również – bo przecież jako nauczycielka pracowałam pod jego dyktando. Chodził na hospitacje, bardzo dokładnie później lekcje omawiał. Naprawdę wymagał. Ale przyjmował też każde słowa krytyki. Jeżeli chodzi o dyrektora-nauczyciela, to – tak jak mówiłam – maska mu spadała, był teraz nauczycielem języka polskiego, ale i wówczas miał swoje wymagania. Raz w tygodniu było wypracowanie (myśmy chodzili sześć dni do szkoły), raz w tygodniu była pamięciówka (albo fragment prozy, albo fragment poezji) a jeżeli sprawdzał domową pracę pisemną – wypracowanie – i znalazł błąd ortograficzny – absolutnie i natychmiast dostawało się ocenę niedostateczną. Podobne rzeczy powtarzam często moim uczniom: „Praca domowa, kiedy macie możliwość korzystać ze wszystkiego – podręcznika, słowników i innych pomocy, powinna być idealna”. Dyrektor to była rzeczywiście postać-

legenda. Powiem szczerze, że może dlatego, że nas uczył, myśmy troszkę inaczej na niego patrzyli i dziwiliśmy się, że ktoś ma jakieś pretensje. Na pewno egzekwował to, co zarządził i czego wymagał. Dla mnie była to postać bardzo pozytywna. Kiedy spotykam się teraz z moją klasą – no może nie całą, bo część osób jest za granicą, część niestety odeszła – to bardzo dobrze go wspominamy. Wszyscy. Na pewno było wielu uczniów, którzy nie skończyli Zamoyskiego. Zasady były jasne. Ktoś ich nie przestrzegał – mówiło się mu: „Do widzenia”. Jeden z moich wychowanków, chłopiec, odszedł z klasy, ale mimo tego z klasą się spotyka i mówi, że nie ma żalu, bo on wie, za co wyleciał z tej szkoły. Na pewno Dyrektor był postrachem. Ale ja myślę, że to tylko taka pogłoska przechodziła z jednego rocznika na następny – jeżeli bliżej się go poznało, to był bardzo miły i towarzyski.

FŚ: Jak plasował się Zamoyski na tle innych warszawskich szkół?

PP: Wtedy oczywiście nie było rankingu, ale Zamoyski zawsze był „wziętą” szkołą. Nie było również naboru elektronicznego – zdawało się egzaminy i naprawdę dostawali się tylko najlepsi.

FŚ: Czyli były wstępne egzaminy?

PP: Tak, oczywiście. Pisemny polski i matematyka. Egzamin ustny też.

FŚ: Czy myśli Pani, że Zamoyszczacy byli kiedyś bardziej sumienni, jeżeli chodzi o naukę?

PP: Wspominając swoje czasy szkolne widzę, że myśmy bardzo mało opuszczali, bo nam się to nie opłacało. Dłuższa choroba była usprawiedliwiana i dawano uczniowi czas na nadrobienie materiału. Natomiast po jednodniowej lub dwudniowej nieobecności natychmiast byliśmy odpytywani z materiału, który był w tym czasie realizowany. Nam się nie opłacało opuszczać szkoły. Czy byli bardziej sumienni? Każdy uczeń kombinuje, żeby wyjść na swoje, prawda? My też liczyliśmy: „Aha, to jeszcze klasówki nie będzie. A może, a może... Nie no, jeszcze powinniśmy skończyć jakiś zakres materiału, żeby była kartkówka”. Nauczyciele też nas czasem zaskakiwali. Też nie zawsze byliśmy przygotowani, ale... Nie można było zgłaszać nieprzygotowań. Albo się udało, albo się nie udało. My też potrafiliśmy być nieprzygotowani, liczyć na szczęście, pójść do nauczyciela i prosić: „Panie Profesorze, może jeszcze nie dziś”. Normalka. Normalne szkolne życie.

FŚ: Czy którąś klasę wychowawczą wspomina Pani ze szczególną sympatią?

PP: Wszystkie klasy wspominam z sympatią. Każda była inna. Powiem wam – nie miałam w sumie tak dużo klas wychowawczych, bo jakiś czas prowadziłam Samorząd Szkolny, a w momencie, kiedy nauczyciel zajmował się samorządem, nie miał wychowawstwa. Wszystkie moje klasy bardzo lubiłam. Niektóre były bardzo wesołe – moje koleżanki mówiły, że jaki wychowawca, taka klasa – ponieważ ja się dużo uśmiecham. Moja ostatnia klasa, która w 2005 roku robiła maturę, praktycznie od pierwszej klasy była

najlepsza w szkole, jeśli chodzi o naukę. Ale naprawdę nie potrafiłabym wyróżnić żadnej z tych klas szczególnie.

FŚ: Jak wspomina Pani dawną gazetkę szkolną?

PP: Za moich czasów wychodziło „Życie Szkoły” – nawet byliśmy dosyć aktywni, jako klasa – mieliśmy koleżankę odpowiedzialną za grafikę i kolegę, wybitnego humanistę, który tam pisywał. Zmieniły się nieco problemy i tematyka: dla nas ważne było opisywanie szkolnego życia, ważnych wydarzeń i naszych przeżyć, a teraz gazetka ma zupełnie inny charakter. Bardzo dobrze, że ta gazetka istnieje. Powinniście robić wszystko, by była kontynuowana. Poza tym dobrze pisać o tym, co dzieje się w szkole, w Warszawie, o wszystkich tych wydarzeniach kulturalnych i waszych zainteresowaniach.

FŚ: Czy pamięta Pani jakieś zabawne sytuacje związane ze szkołą i życiem w szkole?

PP: Opowiem wam jedną z takich. Szłam na drugą lekcję. Oczywiście nie w maciejówce, tylko w czerwonym bereciku. Szłam sobie spokojnie Smolną, bo wiedziałam, że Dyrektor Gad o tej porze powinien być w szkole. Aż tu nagle, na zakręcie przy Gimnazjum, berecik zjeżdża mi z głowy. „Panna, jutro wpół do ósmej w maciejówce z mamą pod gabinetem”. Cały Dyrektor Gad. Wiele było takich komicznych sytuacji, dużo można by opisywać. Przypominamy je sobie teraz zawsze na naszych spotkaniach klasowych – często wtedy pada:

„A pamiętasz, jak...” – i tu nazwisko na przykład profesora lub opis jakiejś zabawnej historii.

NK: Jest taki pomysł, by przywrócić maciejówki, ale jako nieobowiązkowy element stroju...

PP: Popieram. Był taki okres, kiedy można było sobie czapkę nieobowiązkowo kupić – kupiła i chętnie nosiła ją moja córka, ale w przypadku syna – mowy o tym nie było. Stanowczo powiedział: „Dwie maciejówki w domu wystarczą” – czyli moja i córki. Myślę, że danie młodzieży możliwości wyboru jest dobrym pomysłem. A żeby podtrzymać tradycję, nasz poczet sztandarowy do dziś zakłada maciejówki jako uzupełnienie stroju galowego.

FŚ: Dlaczego Zamoyski?

PP: Dlaczego Zamoyski dla mnie, jako uczennicy? Kiedyś była rejonizacja, a to była najbliższa szkoła – nie mówiąc już o tym, że była to szkoła rodzinna. Chodził do niej mój brat, mój mąż, siostra męża, dwoje dzieci... Co prawda mój mąż i mój brat nie kończyli Zamoyskiego. Kończyli Górskiego – bo jakiś czas wynajmowano ten budynek dla szkoły imienia Wojciecha Górskiego. Muszę powiedzieć, że tradycja rodzinna tej szkoły istniała bardzo długo i myślę, że nawet do tej pory istnieje. Do tego liceum zawsze przychodziły dzieci Zamoyszcaków. Nieraz uczyłam dzieci moich uczniów.

FŚ: Skąd pasja do niemieckiego?

PP: Tę pasję rozbudziła we mnie nauczycielka niemieckiego, którą miałam w ósmej klasie. Osoba bardzo

wymagająca, ostra, baliśmy się jej strasznie. Muszę wam powiedzieć, że pierwszą oceną, jaką dostałam w Liceum Zamoyskiego, była dwójka właśnie z niemieckiego. Przyszłam do domu – byłam dosyć dobrą uczennicą – i powiedziałam: „Ja się niemieckiego uczyć nie będę”! A chcę wam powiedzieć, że za moich czasów nie dyskutowało się w domu o nauczycielu. Moi rodzice wyznawali zasadę: „Nie szukaj winy w nauczycielu, szukaj winy w sobie”. Ponieważ ja tę dwójkę dostałam, bo przeżywałam taki stres przy odpowiedzi, że mówiłam bardzo cicho, a nauczycielka powtarzała: „Wie bitte?” – i ja, mówiąc dobrze, byłam przekonana, że mówię źle, więc poprawiałam się na źle. Ale zostałam szybko, jak to dzisiaj mówicie, „przywrócona do pionu”. Zaczęłam się tego niemieckiego uczyć i w końcu skończyłam ósmą klasę z oceną dobrą. Ale Pani Profesor po ósmej klasie odeszła ze szkoły. Myśmy ją w sumie bardzo polubili. Odeszła w momencie, kiedy już żeśmy poznali nauczycielkę, metody pracy i zorientowaliśmy się, że ona nie chce nam zrobić krzywdy... Moja mama dotarła do niej prywatnie. I ja chodziłam od niej indywidualnie na lekcje. Nie dlatego, że miałam problemy – po prostu mama widziała, że ona wzbudziła we mnie rzeczywiście pewne zainteresowanie. No i się zaczęło – nie tylko nauka niemieckiego, ale również literatura i kultura. I pewnego dnia na takiej lekcji Pani Profesor pyta mnie, co ja bym chciała robić. Odpowiadam, że chciałabym iść na medycynę. „Nie, ty pójdziesz na germanistykę” – mówi. No, i tak się stało.

NK: Jeżeli chodzi o Pani zainteresowania w kontekście literatury – jakie są Pani preferencje pod tym względem. Czy ma Pani jakichś ulubionych autorów niemieckojęzycznych?

PP: Oczywiście... Bardziej preferuję współczesną literaturę: Günter Grass, Böll. Liryka – nie. Ooo, nieee...

FŚ: Pani ulubiona książka niemieckojęzycznego autora?

PP: Na pewno wymienię Grassa, ale nie wiem, która jest mi najbliższa... Nie wszystko czytałam w oryginale. Niektóre czytałam – bo musiałam na germanistyce. Nie wiem, czy nie „Błaszany bębenek”. Choć adaptacja filmowa zupełnie mi nie odpowiada...

FŚ: A ulubiona książka polskiego autora?

PP: Szczypiorski. Po niemiecku to się nazywało: „Die schone Frau Seidenman” [„Początek” – przyp. autora]. Ukazało się po raz pierwszy po niemiecku – bo ta książka nie była dopuszczona u nas do druku – więc czytałam właśnie po niemiecku. Przecież wiecie, że dużo czytam i trudno mi wymienić wszystkie ulubione lektury. Bardzo lubię czytać reportaże i sagi rodzinne.

FŚ: Bardzo dziękujemy Pani za wywiad, Pani Profesor.

PP: Ja również dziękuję.



Wywiad przeprowadzili:

Filip Świerczyński i Natalia Kossakowska

Opracowanie i redakcja:

Filip Świerczyński

DODATEK DO WYWIADU

Chciałabym dorzucić spojrzenie „z zewnątrz” na szkołę Zamoyskiego i dyrektora Gada, dostąpiłam bowiem zaszczytu osobistego z nim kontaktu.

Byłam uczennicą Liceum Czackiego, które wtedy mieściło się przy ulicy Karowej. Surowość dyrektora Gada wobec uczniów była słynna w całej Warszawie i traktowana przez licealistów z innych szkół jako, delikatnie mówiąc, dziwactwo. Należało zatem pomóc kolegom z Zamoyskiego w „walce” z dziwnym dyrektorem. Traktowaliśmy to jako rodzaj gry i świetnej zabawy.

Dyrektor Gad (było to nie tylko nazwisko, ale także ksywka) miał także zwyczaj wyłapywania swoich uczniów, którzy wbrew regulaminowi bywali w kawiarniach. Było to łatwe, gdyż byli z daleka rozpoznawalni z powodu czapek. Gra polegała na tym, że umawialiśmy się z Zamoyszczakami w wyznaczonej kawiarni i siadaliśmy przy jednym stoliku. „Wywiad” działał dobrze, więc zwykle dzień, godzina oraz lokal były nam wcześniej znane. Było nas zwykle 5-6 osób, zamawialiśmy kawę, ciastko (broń Boże alkohol) i dla personelu oraz innych ludzi w lokalu byliśmy kulturalnie zachowującą się grupą młodzieży. I czekaliśmy na „nalot.” Nie zawsze, ale przeważnie ustalenia wywiadu okazywały się prawdziwe. Dyrektor Gad wkraczał dumnie do kawiarni, („Zamoyski” z naszego stolika ulatniał się pilnie do toalety), rozglądał się czujnie i bezbłędnie namierzał nasz stolik. Na oparciu krzesła wisiała wszak zawsze przynajmniej jedna charakterystyczna czapka. Podchodził, witał się i żądał okazania legitymacji szkolnej. Legitymacje miewali przy sobie tylko dobrze przyuczeni Zamoyszczacy, ale on kierował swe żądania do uczniów

z innych liceów, co naturalnie spotykało się ze zdziwieniem i licznymi pytaniami – dlaczego, po co, z jakiej racji? Twarz mu tężała i zaczynało się dochodzenie: skąd mamy czapki? Odpowiedzi bywały różne. Ja odpowiedziałam kiedyś, że to prezent od mojej sympatii, absolwenta Zamoyskiego, bo czapka jest bardzo twarzowa i dlatego została mi podarowana. Nie dałam się oczywiście namówić na zdradzenie nazwiska owej sympatii. Na twarzy dyrektora malowała się złość i bezsilność, gdy nie otrzymywał odpowiedzi na pytanie do jakiej szkoły chodzimy. Bardzo nas to wszystkim bawiło, ale najbardziej Zamoyszczaków.

Ale jest jeszcze drugie oblicze Dyrektora Gada, świadczące o tym, że nie był tylko „satrapą” ale także mądrym pedagogiem.

Kilka lat temu byłam na badaniach okresowych u laryngologa. Przeczytał skierowanie i dowiedział się, że pracuję w Zamoyskim.

- Byłem uczniem Zamoyskiego, ale krótko, zaledwie rok, wywalili mnie – oświadczył

- Za co? Nie nosił pan czapki?

Okazało się, że popadł w ostry konflikt z nauczycielką, co skutkowało fatalnymi ocenami. Młody człowiek popadł w depresję i jego ojciec udał się do dyrektora na rozmowę spodziewając się wszystkiego najgorszego, gdyż znał opinię o jego nieprzejednaniu i surowości. Syn dopiero po latach dowiedział się, że pan Gad z dużym zrozumieniem wysłuchał jego ojca, rozpoznał problem i doradził zmianę szkoły twierdząc, że niechęci tej nauczycielki nie da się przełamać. Dopomógł też w przeniesieniu chłopca do innej szkoły.

Doktor wyrażał się o nim z pełnym szacunkiem i twierdził, iż dzięki jego mądrości wyszedł na ludzi.

Marzena Chylińska

Przegląd prasy.

„Dzień ucznia zaczyna się dość ponuro. Uczniaka budzą o siódmej rano. Na dworze deszczyk. »Zachmurzenie umiarkowane z przejaśnieniami« – jak mówi PIHM [Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny – red.], daje naszemu bohaterowi pewność, że cały dzień będzie lało. No cóż robić, trzeba iść do szkoły. Ostatnia deska ratunku to „choroba”. Niestety, aby zostać w domu, potrzebna jest pewna drobnostka – kilka kresek powyżej normalnej temperatury. Ale na to trzeba czasu, a tegoż nie ma wcale. Idzie więc taki Jurek czy Kazio smętnym krokiem »czerpać wiedzę« i myśli: dziś sześć lekcji, co mam jeszcze do odrobienia? Matematyka, chemia, rosyjski i biologia. Kiedy ja to zdążę napisać?

Wtem nadchodzi olśnienie. A gdyby tak spóźnić się na pierwszą lekcję? Zawsze jedna lekcja mniej... Ale... jedna nieobecność więcej. A jak mądre przysłowie twierdzi, ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. Nie, tak źle i tak niedobrze. Ale oto już szkoła. Z determinacją, zdecydowany na wszystko, nasz uczeń wstępuje w szkolne progi.

W klasie natychmiast okazuje niebywałą pilność w przepisywaniu lekcji przed dzwonkiem. Jeżeli wykład jest dość »nudny« to przepisuje tenże żaczek zadania i w ciągu godziny lekcyjnej.”

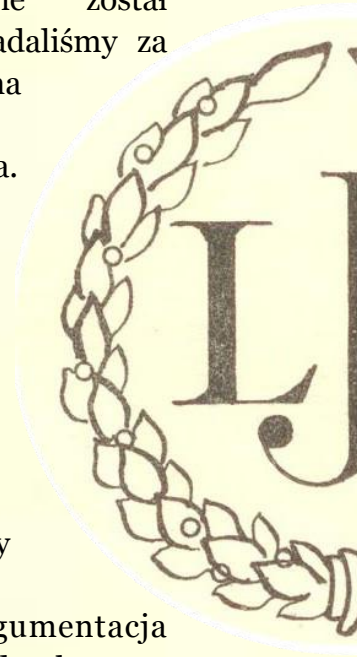
Wbrew pozorom nie zacytowałem przed chwilą artykułu z „Gońca” sprzed kilku-kilkunastu numerów. Powyższy tekst jest znacznie starszy, bo pochodzi z... 1963 r. Artykuł „Dzień powszedni ucznia” został opublikowany na łamach „Życia Szkoły”, gazetki Liceum Zamoyskiego wydawanej z przerwami

przez ponad 40 lat. Pierwszy numer ukazał się w październiku 1927 r. i niestety nie udało mi się do niego dotrzeć. O historii gazetki można się dowiedzieć z numeru jubileuszowego na 10-lecie czasopisma, czyli wydanego jesienią 1937 r. W jednym z artykułów czytamy, jak wyglądały wówczas zebrania redakcji „Siadaliśmy za długim stołem w »światlicy« (...). Siadał (...) prof. Nowak i strząsał popiół z papierosów na brunatne linoleum podłogi (projekt ofiarowania redaktorowi odpowiedzialnemu popielniczki nigdy nie został urzeczywistniony) (...). Siadaliśmy za stołem i młodzi kandydaci na literatów i publicystów czytali po kolei swe dzieła. Czasem było to nudne (...), czasem wesołe (...).

Potem była dyskusja i »materiału«: inspirowany przeze mnie [Wojciecha Kwasięborskiego, autora artykułu i członka redakcji »Życia Szkoły« – red.]

»komitet« odrzucał artykuły Witka o nowoczesnej poezji

»polskiej«, a logiczna argumentacja Święckiego utwierdzała nas w przekonaniu, że rozprawy Piaseckiego są za długie i należy je skrócić przynajmniej o połowę. (...) Bolek obrażał się wtedy i wyniośle chował swą bazgraninę do kieszeni”. Dzisiejsze zebrania „Gońca” wyglądają podobnie, różnią się jednak kilkoma szczegółami. Przede wszystkim nikt dzisiaj nie pozwoliłby sobie na „puszczenie dymka” podczas spotkania. Najstarszy numer, jaki miałem okazję czytać, pochodzi z września 1933 r.



Bardzo starej prasy.

i w większości poświęcony jest okrągłej 250. rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Biorąc pod uwagę fakt, że były to lata wielkiego kryzysu gospodarczego, gazetka wyglądała niezwykle profesjonalnie (są nawet reprinty zdjęć, co w tamtych czasach w gazetach było rzadkością), a papier, który został użyty, zaskakuje znakomitą jakością. Co niektóre egzemplarze dziś są w lepszym stanie niż większość książek z lat 70. i 80., wydrukowane na fatalnym papierze klasy V. Zaryzykuję nawet stwierdzeniem, że „Życie Szkoły” 80 lat temu mogło konkurować z ówczesnymi tygodnikami ilustrowanymi. Co ciekawe, przez długi okres czasu czasopismo było bezpłatne – widać szkoła nie szczydziła środków na media. Świadczy o tym również nakład, który wynosił kilkaset egzemplarzy (rekordowy numer został powielony aż 1200 razy). O takim nakładzie „Goniec” może niestety tylko pomarzyć. Część budżetu pochodziła z zysków z reklam, których nie brakowało. Na łamach „Życia” promował się m.in. sklep z artykułami paperniczymi i L. Grabowski i S-ka (który swą siedzibę miał na Marszałkowskiej 124 – niegdyś stała tam moim zdaniem najpiękniejsza kamienica w Warszawie, Dom Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosja”, dziś odbudowana w zupełnie zmienionym kształcie i znana jako Dom pod Sedesem – z racji charakterystycznych dekoracji przypominających deskę klozetową) oraz... browar Habermusch i Schiele, zapraszający po lekcjach na piwo słodowe (oczywiście bezalkoholowe).

Dynamiczny rozwój pisma przerwał wybuch II wojny światowej. Z wiadomych względów gazeta nie wychodziła podczas okupacji. Pierwszy powojenny numer „Życia Szkoły”, jaki oglądałem, pochodzi z 1958 r. i przygotowany został na zjazd wychowanków Zamoya. W numerze tym bardzo dokładnie została przedstawiona historia szkoły, począwszy od 1905 r. i skończywszy na latach 50. Wydanie sprzed prawie 60 lat również szokuje jakością – pomimo tylu lat papier wciąż wygląda jak nowy, nie „skruszył się” ani nie zmatował. „Życie Szkoły” wychodziło przez następne 10 lat, przeżywając w tym okresie lata tłustsze i chudsze. W 1960 r. pismo „skurczyło się” do zaledwie 4 stron, wydawanych na papierze o bardzo wątpliwej jakości. Renesans gazety przypadł na połowę lat 60. Nadal jednak nie była to jakość znana z lat 30. i specjalnego wydania z 1958 r. Numer pisany był na maszynie do pisania, a powstały maszynopis był następnie powielany w kilkuset kopiach. Ostatni numer „Życia Szkoły” do którego dotarłem pochodzi z 1967 r. Zakładając nawet, że był to ostatni rok wydawania tego czasopisma, to i tak szkoła naprawdę ma się czym chwalić. Prawie 3 pokolenia przez 40 lat pisało do jednego, tego samego pisma, które przetrwało kryzys początku lat 30., okres okupacji, powstanie warszawskie, zagładę miasta i pierwsze „nieciekawe” lata Polski Ludowej. Nie była to jednak jedyna gazetka szkolna wydawana w Zamoyu przed powstaniem „Gońca” w 2010 r. Oprócz tego wydawano jeszcze „Zamoy News”, „Paradoks”, „Chwila”, „Smuty bagienne” i „Wyzwania”. Ale o tym w kolejnym numerze...



Jury

Konkursu Literackiego o Pióro Zamoyskiego i Długopis Zamoyszczaka

w składzie:

Edyta Ołdakowska-Dębek,

Emilia Kędziorek,

Maciej Bugaj i Leszek Kozłowski

z radością zawiadamia, że wśród
naszych uczniów nie umarła sztuka
czytania i pisania, a rodzą się pisarskie,
zwłaszcza epickie talenty.

Poziom prac konkursowych oceniamy jako
wysoki i z tym większą przyjemnością ogłaszamy wyniki
naszego wyboru i uczniowskiego głosowania.

**Obie nagrody: Pióro Zamoyskiego oraz Długopis
Zamoyszczaka otrzymuje Lidia Petrykowska (John Watson) za
opowiadanie „Bursztynowa makrela”.**

**Specjalne wyróżnienie za opowiadanie „Nest” w języku
angielskim otrzymuje Kazimierz Michalik (Conrad Conrad).**

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy,

a wszystkim pozostałym życzymy sukcesów w przyszłości.



REJS W NIEZNANE

Uczniowie naszej szkoły jak co roku ruszyli w rejs Pogorią. Żaglowiec powstał na zamówienie Radiokomitetu (dzisiejsza Telewizja Polska) dla Bractwa Żelaznej Szekli. Bractwo zajmuje się edukacją morską młodzieży i dorobiło się z czasem własnej audycji w TV p.t. *Latający Holender*. Pogoria brała udział w licznych regatach, nieprzygotowana płynęła do Polskiej Stacji Badawczej im. Henryka Arctowskiego na wyspach św. Jerzego oraz została zatrzymana przez izraelską prokuraturę oskarżona o zderzenie się z izraelską łodzią rybacką. Obecnie pływa z wycieczkami po Morzu Śródziemnym oraz po Morzu Bałtyckim.

Andrea Nowicka: Czym jest Pogoria?

Uczeń 1: Pogoria to żaglowiec, który ma wyporności 342 tony, długość 47 metrów i szerokość 8 metrów, posiada ożaglowanie typu barkentyna o powierzchni 1000 m² (razem 15 żagli na trzech masztach w tym jeden maszt z żaglami rejowymi).

Uczeń 2: Pogoria to żaglowiec, na pokładzie którego uczniowie naszej szkoły płyną już od paru lat. Jest ona średnim statkiem, lecz pomimo swoich rozmiarów bierze udział w wielu zawodach żeglarskich. Zazwyczaj pływa po Morzu Śródziemnym.

A.N: Kto uczestniczy w rejsach?

Uczeń 1 : Uczniowie Zamoyskiego

Uczeń 2: Każdy może się zapisać. Było z nami również troje nauczycieli. Poza tym płynęła z nami załoga zawodowa

oraz dwóch Włochów ze szkoły morskiej w Bari.

A.N: Kto się opiekuje uczniami podczas rejsu? Kto w tym roku sprawował opiekę nad uczniami?

Uczeń 1: Nauczyciele Zamoyskiego (zmieniają się w zależności od roku)

Uczeń 2: Jak wspominałem płynęła z nami trójka nauczycieli: pani Żelazek, pani Szurmak i pan Zarzycki. Byli oni przydzieleni do wacht razem z oficerem. Nauczyciele odpowiadali za nas na lądzie, lecz na morzu zajmowali się tym oficerowie wachtowi.

A.N: Jak wygląda dzień na Pogorii?

Uczeń 1: Dzień wygląda bardzo różnie, w zależności od tego jaki rodzaj wachty wykonujemy.

Uczeń 2: Jako, że byliśmy podzieleni

na 4 wachty, ciężko mi określić wspólny dla wszystkich początek dnia na statku. Nasze „ukochane” nocne wachty mogły zacząć się np. o 4 rano i trwać do 8. Energetyki, kawy i mocne herbaty to byli wtedy najlepsi przyjaciele. Dla tych, którzy akurat nocnej wachty nie mieli, dzień rozpoczynał się od śniadania o 7.30 i apelu porannego, który był jedynym obowiązkowym punktem dnia. Zazwyczaj około godziny 12 schodziliśmy na ląd w porcie i mieliśmy czas wolny. Obiadokolacja była wówczas zazwyczaj o godzinie 18.30, a jeżeli akurat byliśmy poza portem, o godzinie 13 był obiad, a o 18 kolacja. Dzień kończył się wraz z ciszą nocną, która obowiązywała od godziny 23 do 7 rano.

A.N: Na czym polega wachta? Macie jakieś przygody z nią związane?

Uczeń 1: Wachta nazywamy część załogi, pełniącą zazwyczaj trwającą 4 godziny służbę. Najbardziej śmieszą mnie przygody, które zdarzały się na wachcie nawigacyjnej trwającej od 4 do 8 rano. Byliśmy tak zmęczeni po całym dniu i niewyspani, że zdarzało nam się przysnąć. Groteskowo wyglądał jeden z moich kolegów z wachty, który przysnął za sterem i zbaczaliśmy wtedy o 80 stopni z kursu.

Uczeń 2: Jak już wspomniałem zostaliśmy podzieleni na 4 wachty. Każda miała w danym momencie inne zadania, a jedna odpoczywała (najczęściej odsypiając). Istniały 3 rodzaje wacht: gospodarcza, bosmańska i nawigacyjna. Wachta gospodarcza zwana kambuzową szybko stała się najbardziej zniechęconą ze względu na obowiązki typu: przynieś, podaj, pozamiataj, umyj toaletę, obierz ziemniaki. Jako, że podlegała

kucharzowi i podawała również do stołu. Miała za to jedną ogromną zaletę – gwarantowała stałe godziny snu. Trwała cały dzień od 16 do 16. Wachta bosmańska polegała na pomocy bosmanowi w różnych pracach konserwatorskich na pokładzie, pomocy wachcie nawigacyjnej, lub po prostu na „nie nierobieniu”, ponieważ nie zawsze znalazła się praca do wykonania. Trwała 4 godziny i była dość lubiana. Najciekawsza, ale zarazem najbardziej odpowiedzialna była wachta nawigacyjna. Składała się ona z różnorodnych funkcji typu: sternik, nawigator, oko, czy rejowy. To właśnie ten typ wachty mógł się odbywać w nocy. Nawigacja trwała 4 godziny.

A.N: Dlaczego warto wziąć udział w rejsie? Czego można się tam nauczyć? Czym to owocuje?

Uczeń 1: Uważam, że taki rejs pozwoli nam na oderwanie się od rutyny codziennego życia (w tym szkoły), uczy nas dyscypliny oraz pokazuje nam *n i e z a p o m n i a n e w i d o k i*.

Uczeń 2: Dla mnie osobiście rejs był odskocznią od szkolnej codzienności i okazją do przeżycia jakiejś przygody. Poznałem wielu ludzi i zobaczyłem nowe, ciekawe miejsca. Moimi osobistymi perełkami wyjazdu były obie wizyty na Korsyce na której przedtem nigdy nie byłem, chętnie tam wrócę. Przebywanie przez tydzień na statku dosyć mocno zmienia postrzeganie niektórych czynności, jak chociażby banalne zmywanie naczyń, które na bujającym statku przy chorobie morskiej nie było wcale takie proste... Z chęcią przeżyję to jeszcze raz w przyszłym roku.



RZECZ O MARIANIE



Zazwyczaj nienagannie ubrany, elegancki, z torbą przewieszoną przez ramię. Z charakterystycznym uśmiechem, fryzurą oraz sposobem bycia. Nigdy nie widuje się go samego. Zawsze też wita mnie z uśmiechem na ustach i słowami „Cześć Kuba”. Mimo iż nie jest już przewodniczącym uczniowskiego samorządu to wciąż większość szkoły wspomina z nostalgią jego kadencję. Pytają kiedy wróci, bo szkolne wifi nie działa jak niegdyś. Za życia stał się chodzącym symbolem szkoły. Wielu utożsamia go z reinkarnacją hetmana Jana Zamoyskiego. Najczęściej pojawia się na stronach internetowych

związanych z LO im. Zamoyskiego.

Wszyscy już wiedzą o kogo chodzi. Marian Fila już zapisał się w historii szkoły jako najbardziej rozpoznawalny przewodniczący. Skąd wzięła się jego popularność? **Po pierwsze – autentyczność, sympatyczność, otwartość.** Wraz z redaktorem Bengszem często zwracaliśmy mu uwagę na rzeczy istotne dla szkoły, chociażby przy okazji debat o stanie szkoły. Marian, wraz z samorządem skrupulatnie zapisywał nasze uwagi, wymieniając poglądy na daną sprawę.

Nigdy nie wiedziałem Mariana naprawdę zdenerwowanego czy przygnębionego. Zazwyczaj na przerwach rozmawia z ludźmi,

z coca-colą w ręku perorując o różnych sprawach.

Dzięki tej otwartości posłuchał świetnych pomysłów Mateusza Ołdaka. To dzięki ich współpracy rozwinął się radiowęzeł, zorganizowany został Zamoyski Dzień Dresu 2K14.

P o d r u g i e – charakterystyczna twarz, wprost stworzona do umieszczania w memach oraz charakterystyczny sposób bycia. Sami z redaktorem Bengszem często tworzyliśmy prześmiewcze memy z osobą Mariana, mające wyrazić uczniowskie zdanie o sprawach związanych ze szkołą. Strona „ChFila dla Warszawy” była tego znakomitym przykładem. Ilość pomysłów na memy z Marianem przekroczyła nasze wyobrażenia. Często Marian wypominał nam, że gdziekolwiek spojrzy to Robert czeka z aparatem i robi zdjęcia, a memy ze swoją osobą widzi co chwilę. Jednak nigdy się za to nie obraził, co więcej przyklasnął pomysłowi. W końcu to tylko zwiększa jego popularność i rozpoznawalność. A tej dla przyszłego polityka nigdy za wiele. **Po trzecie – za poprzedniej poprzedniej kadencji nic praktycznie się nie działo w szkole.** Marian ze swoją ekipą samorządową próbował zmienić wizerunek szkoły, organizując chociażby festiwal MROK, liczne spotkania z ciekawymi osobami czy wspomniany już Dzień Dresu.

Jego działania kontynuuje obecnie Andrzej Dziuba, tworząc m.in. Zamoyską Drużynę Wioślarską.

Nowe roczniki nie będą wiedziały kim jest Marian Fila, który wraz z nami opuścił w kwietniu mury tej szkoły. Jednak dla wielu jego postać pozostanie symbolem szkoły, symbolem tego, że w szkole może się coś dziać (niewiele ale zawsze coś ciekawego), że Zamoy nie musi być ponurym miejscem.

Nie wszystko za jego kadencji było wspaniałe – jak podsumowali dziennikarze „Gońca” zaledwie 60% jego programu zostało zrealizowane, nie zawsze też współpraca z „Gońcem” była wspaniała. Jednak starał się, robił co mógł.

Dlatego praca następcy Mariana – Andrzeja Dziuby – będzie utrudniona. Trudno będzie przebić popularność Mariana, którego postać pojawia się praktycznie wszędzie – na stronie Samorządu, Na „Rzeczach, których nie usłyszysz w Zamoyskim”, w „Zońcu Gamoyjskim”, na stronie „ChFila dla Warszawy – Marian Fila na prezydenta”. Przed nowym przewodniczącym mnóstwo wyęzionej pracy. **Kto wie – może to on przebiję Mariana?**

JAKUB DROZDZ



ŻARCIE • NA • KÓŁKACH

Do matury już niecały miesiąc, więc nagle wszyscy nauczyciele zaczynają się orientować, że czas wystawić końcoworoczne oceny i sprawdzić naszą wiedzę maturalną ogromną ilością sprawdzianów, mapówek i treściówek. Natomiast uczniowie przesiadują całymi dniami w BUW-ie próbując w ostatniej chwili przyswoić materiał z trzech lat. Nikt nie ma czasu na swoje zainteresowania i hobby, w tym ja. Nie chodzę do kina, nie oglądam za wielu filmów nawet w domu, nie chodzę na targi i nie robię zdjęć. Ale jest coś, na co zawsze znajduję czas - dobre jedzenie. Dlatego nie mogła ominąć mnie możliwość uczestnictwa w otwarciu sezonu food trucków.

Impreza „Żarcie na kółkach” odbyła się 28 i 29 marca na błoniach Stadionu Narodowego. Była to jej 6. edycja, w której rekordowo wzięło udział aż 70 samochodów. Teren był podzielony na trzy sektory: „Kuchnie Świata”, „Burgery” i „Słodkości i kawa”. Organizatorką wydarzenia jest Anna

Żurek, która sama nie zajmuje się gastronomią. Po pierwszym takim zlocie w 2013 roku, wraz z Krzyśkiem Stelmachem zdecydowali się organizować takie imprezy cyklicznie. O samej idei street food i food trucków można przeczytać w moim poprzednim artykule o takim jedzeniu. Teraz, z racji tego, że na dworze jest coraz cieplej i takich zlotów będzie więcej, chciałam zachęcić wszystkich do spróbowania nowych smaków z jadłowozów.

Ja, podczas imprezy „Żarcie na kółkach”, postawiłam na oryginalne przysmaki i oczywiście na burgery. Gwiazdą był food truck B.B.Kings, który przyjechał do Warszawy z Łodzi. Na ostatnim zlocie po jednym dniu wysprzedali całe jedzenie i musieli wrócić, bo nie spodziewali się aż tylu klientów. Teraz na szczęście zdążyłam i wcale się nie dziwię ich popularności. Oprócz przepysznych burgerów, z dużą ilością mięsa (200g), sosem czosnkowym i ciemną, chrupiącą bułką, wyróżnia ich wygląd. Chłopaki

wyglądają jak rasowi harleyowcy, a ich food truck to duży samochód terenowy z przyczepą z grillem. To był najlepszy burger, jaki jadłam w Warszawie. Polecany Beef'N'Roll nie zrobił na mnie aż tak dużego wrażenia. Natomiast Kill Grill zaskoczył mnie kompozycją smakową. Ich kanapka Spicy Sandwich składa się z plastrów polędwicy wieprzowej z rusztu w karmelu, warzyw, hiszpańskiego aioli, cynamonowego chutney z papryki. Chyba w żadnym food trucku z kanapkami lub burgerami nie ma takich oryginalnych kompozycji. Po obejrzeniu filmu „SzeF” o znanym kucharzu, który po utracie swojej pracy otwiera food truck z meksykańskimi kanapkami, nie mogłam nie spróbować jedzenia z La Chica. Serwowane są w nim grillowane sandwiche na kubańskim chlebie. La Chica była kiedyś restauracją w Warszawie, a teraz stworzyli swój jadłowiez i przyjeżdżają na różne wydarzenia. Kanapka, której spróbowałam (Cubano) mnie nie zachwycała, chociaż na pewno znajdzie swoich wielbicieli, ponieważ porcje są spore. Polecam spróbować mlecznego shake'a z mango, przygotowywanego ze świeżych owoców.

Gwiazdą zlotów food trucków i kuchni azjatyckiej są ostatnio chińskie pierożki Dim Sum gotowane na parze. Są one przygotowywane z pszennego lub ryżowego ciasta, a w środku jest mięsne lub wegetariańskie nadzienie. Podczas „Zarcia na kółkach” można było spróbować pierożków z dwóch jadłowiezów: Momo-Smak i Parowóz. Osobiście bardziej smakują mi te z tybetańskiego Momo, bo mają w ofercie ciasto ryżowe, które jest delikatniejsze od pszennego. Natomiast

Parowóz posiada bardziej oryginalne nadzienia, m. in. soczewicę z imbirem lub ziemniaka z kokosem i curry. Gdy już najadłam się burgerami, przyszła mi ochota na deser. Jadłowiezów ze słodkościami i napojami również nie brakowało. Już od dawna chciałam spróbować węgierskich ciastek drożdżowych z CoJaCIACHAm. Są one wypiekane na wałkach i obsypywane posypką w różnych smakach (do wyboru jest na przykład cynamonowa lub kokosowa). Ciastka są pyszne, miękkie w środku, chrupiące na zewnątrz i na szczęście nie za słodkie. Na koniec kupiłam orzeźwiająca lemoniadę ze świeżo wyciskanych cytryn, z cukrem trzcinowym, mięta i imbiem z Fresh Bike.

Do domu wróciłam najedzona jak nigdy i jednocześnie zadowolona z miło spędzonego czasu. Ten zlot food trucków był największym, na jakim do tej pory byłam. Jedynym jego minusem była stosunkowo mała liczba stolików, więc czasami trzeba było jeść na stojąco lub czekać na zwolnienie się miejsca, ale to da się naprawić przy kolejnych imprezach. Złoty przyciągają coraz większą ilość osób w różnym wieku. Slow food, czyli jedzenie tam serwowane, zachęca do czerpania przyjemności z jedzenia oraz zainteresowania się pochodzeniem produktów, które jemy i techniką ich przygotowania. Jest to także okazja do zjedzenia czegoś nowego i pysznego lub spróbowania po prostu swojej ulubionej potrawy w innej, ciekawej odsłonie.

JULKA KACZOROWSKA



Olga Boznańska.

Dziewczynka z chryzantemami w Warszawie

Z okazji 150. rocznicy urodzin artystki, niedługo po zakończeniu wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie, dzieła Olgi Boznańskiej zawitały do Warszawy, gdzie można je oglądać jeszcze do 2 maja. Jest to dobra okazja żeby poznać bliżej tę nie wszystkim chyba dosyć dobrze znaną polską malarkę, która uznawana jest za jedną z najwybitniejszych artystek europejskich.

Urodziła się w 1865 roku w Krakowie jako córka polskiego inżyniera, Adama Boznańskiego, i Francuzki, Eugénii Mondant, która zaszczerpiła w niej zamiłowanie do sztuki. Malarstwa uczyła się na prywatnych kursach w Krakowie od różnych nauczycieli, na przykład na Wyższych Kursach dla Kobiet im. A. Baranieckiego. Miały jednak one według malarki polegać tylko na kopiowaniu ("Tam rysowało się już głowy z gipsów. Czasami bywał też żywy model. Akt? Nie, nie było nigdy. Cała nauka nie była nic warta.") więc w wieku dwudziestu jeden lat, w roku 1886, wyjechała studiować do Monachium w prywatnych szkołach Karla Kricheldorfa i Wilhelma Dürra,

nie mogąc, jako kobieta, studiować na Akademii Sztuk Pięknych. (Niech żałują ci, którzy w odróżnieniu od autora artykułu nie zobaczyli wystawy, gdy była ona jeszcze w Krakowie; można tam było zobaczyć monachijską pracę dyplomową Boznańskiej, monumentalne *W Wielki Piątek*.) Niedługo potem otworzyła własną pracownię, a w 1895 przejęła kierownictwo Szkoły Malarskiej w zastępstwie Teodora Hummla. Ten okres jej twórczości nazwany został przez krytyków monachijskim; wtedy rozpoczęła się jej kariera, wtedy rozwinęła swój własny, unikatowy styl, uwielbiany przez zachodnią Europę.. a nielubiany w jej rodzinnym Krakowie. Niedługo potem, w 1898, przeprowadziła się na stałe do Paryża, gdzie twórczość artystyczna zapewniła jej sławę, wystawy na całym świecie, order i medale. Była odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i francuską Legią Honorową, otrzymała srebrny medal od Carnegie Institute w Pittsburghu, kolejny na międzynarodowej wystawie w Amsterdamie, i wreszcie Grand Prix na wystawie Expo w Paryżu, by wymienić kilka. Dopiero pod koniec

życia, wraz z wojną i niestabilną sytuacją na rynku, jej sława malała a pojawiały się problemy finansowe. Zmarła w Paryżu, w roku 1940. Jej styl często określany był jako impresjonistyczny, ale sama malarka miała temu przeczyć („Ja? Impresjonizm? Skąd, gdzieżby..”). Nietrudno skądinąd przecież zauważyć, że Boznańska stosuje dużo bardziej stonowaną paletę barw niż Monet czy van Gogh, a jej prac wykonanych w plenerze też jest niewiele, najbardziej znana jest ze swoich portretów, często wykonywanych na zamówienie, oddających emocje i charakter portretowanych.

Olga Boznańska jest więc obecnie szufladkowana jako postimpresjonistka, ale nie da się zaprzeczyć, że wytworzyła własny, oryginalny styl, trudny do jednoznacznego zaklasyfikowania.

Na autoportretach Boznańska nie uśmiecha się, ale też i nie smuci; robi raczej wrażenie artystki przekonanej o własnej wartości, ale nie wyniosłej („Obrazy moje wspaniale wyglądają, bo są prawdą, są uczciwe, pańskie, nie ma w nich małostkowości, nie ma maniery, nie ma błagi”) pokazując siebie po prostu taką, jaką prawdziwie była. Podobne wrażenie o jej mocnym charakterze, uporze i ambicji można odnieść z jej korespondencji – podkreślała, że z chwilą, kiedy nie będzie mogła malować, powinna przestać żyć, że sztuka była celem jej życia.

Na tle innych emigrantów we Francji odznaczała się płynną znajomością francuskiego.

Mimo faktu iż jej matka była Francuzką, twierdziła, że nie lubi Francuzów (choć oczywiście wiemy, że z kilkoma romansowała). Z kolei szukający wątku polskiego w jej dziełach go nie znajdują, bo go tam po prostu nie ma – bo polityką się zwyczajnie nie interesowała, co nie musi dziwić, zważywszy na sporą niechęć jej rodzinnego miasta do jej sztuki.

Z pewnością była to nietuzinkowa malarka i nietypowa osoba o skomplikowanej osobowości; jej wkład w sztukę jest nieoceniony, a styl jedyny w swoim rodzaju.

Mimo że na obecnej, warszawskiej wystawie znajdziemy mniej dzieł niż na poprzedniej, krakowskiej (57 z 173) warto ją odwiedzić choćby dla jednego z najbardziej znanych – nie bez powodu – obrazów malarki, *Dziewczynki z Chryzantemami*. Łączy on formy impresjonistyczne typowe Boznańskiej, jak i jej inspiracje symbolizmem. Zdecydowanie to właśnie to dzieło robi na odbiorcach największe wrażenie – ciemne, błyszczące oczy dziewczynki wodzące za patrzącym i przykuwające jego wzrok, jej spokój i skupione, poważne oczekiwanie kontrastujące z jej wiekiem, któremu przystoi wesołość, zabawa zatrzymują, zmuszają do zastanowienia. Więc jeśli jeszcze nie byłś – śpiesz się, bo wystawa w Muzeum Narodowym trwa tylko do drugiego maja, a naprawdę warto!

Kazimierz Michalik

W LICEUM NASZYM

TOMASZ RATAJCZYK

- MANIFEST



Na podstawie wiersza Jacka Kaczmarskiego „Przedszkole”



W liceum naszym nie jest źle,
Zabawy mamy tutaj w bród;
Po każdym dniu bawimy się
I wszelki znika trud.

Nikt nam nie przypatruje się;
(Byleby dobrze poszedł test),
W liceum naszym nie jest źle,
Gdy się niegrzecznym jest!

Bo jeśli nie, zaraz nauka, nauka,
nauka zgniata nas
I materiału, -teriału, -teriału jest po
pas,
Bo do matury, matury, tak dużo tego i
Wytchnienie mi się śni...

Za oknem tyle świata, to
Do szyby wnet przeciskam się,
Biorę oddechów parę, bo
W tej atmosferze jest mi źle;

Bo znów klasówkę mamy i
Wszyscy się uczą tu i tam,
Więc ja się uczę pilnie, gdyż
Ambicję wielką mam!

A wszyscy przewracają się
O własne nogi i ja też
Patrzę w korowód bratnich serc,
A żadne nie chce pytać - gdzież...?

Wtem ktoś się zatrzymuje zły,
(a któryś robi to dzień w dzień),
Mówi – mi tego starczy – i
Krnąbrny – unika w cień

Lecz zaraz znowu za naukę, naukę,
naukę weźmie się,
Wszak być lekarzem, prawnikiem,
naukowcem każdy chce,
A ja z kolejki, z kolejki chcę wypaść
czasem i
Wytchnienie mi się śni...

Lecz nic nie robię; cóż to da?
W liceum naszym tak już jest,
Zapominamy co dzień zło
Tak stale, ciągle, aż po kres!

W Liceum wszelka znika chęć;
Byleby tylko zdać na dwa,
Bo kto tam chce rozumieć... Więc
Zabawa jest każdego dnia

Ale ja mówię temu – Nie!
Twórzmy więc rzeczy, słowa, pieśni,
W liceum naszym nie jest źle!
(Szczególnie, gdy się nie śpi).



Złote usta



- „**One przyszły do nas, bo nie wiedziały, co czynią**”
- p. prof. Edyta Ołdakowska-Dębek o nowych uczennicach

- „**Bolesław Wstydlivy dostał taki przydomek, gdyż podobno unikał kontaktów seksualnych ze swoją żoną. Wcale mu się nie dziwię. Jakbym miał taką żonę jak Bolesław, to też bym tego unikał**”
- p. prof. Leszek Kozłowski podczas wyjaśniania przydomków polskich władców

- „**Ja robię takie ćwiczenie, że wchodzę do cukierni, patrzę na te wszystkie ciastka i torty i mówię »Nie złamiecie mię!« i wychodzę**”
- p. prof. Magdalena Szczygielska

- „**EMILIAAAAAA!!!! (po chwili) A nie, przepraszam, Agnieszka**”
- p. prof. Adam Skalmierski

- „**No to liczymy standardowo, na pałę...**”
- p. prof. Adam Skalmierski

- „**Część podjęła próbę i poległa na polu chwały. Reszta prac jest spod herbu de Nędza**”
- p. prof. Magdalena Szczygielska o wypracowaniach maturalnych

- „**Zamiast klasycznej nocy poślubnej była klasyczna rzeźnia**”
- p. prof. Leszek Kozłowski o nocy św. Bartłomieja

- „**Pawła to już w szatni trzeba kryć!**”
- p. prof. Tomasz Szul do ucznia seryjnie trafiającego z dystansu na treningu koszykówki

- „**Ok, ok! If it is czterdzieści pięć, it is czterdzieści pięć**”
- p. prof. Beata Maciąg

- „**Zaliczając sprawdzian za pierwszym razem, chronisz lasy Amazonii!**”
- p. prof. Przemysław Poniatowski